NUMER 7. DNIA 15-go LUTEGO 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

X. WACŁAW EDWARD NOWAKOWSKI

Dla obywatela ciemiężonego narodu niezłomność charakteru i przekonań, niezwalczone przywiązanie do Ojczyzny i jej świętych praw jest bez wątpienia najniezbędniejszym i najpożądańszym przymiotem. Wahanie się, poddanie się gnębiącemu bezprawiu dla osobistych widoków jest zawsze przywarą; w naszych stosunkach staje się ono zbrodnią.

Nikt prawie z działaczy powstania 1863 roku nie odznaczył się taką prawdziwie nadludzką niezłomnością, takiem niezwalczonem poświęceniem sprawie ojczystej, jak ów słodki zakonnik, którego rysy odtwarza właśnie załączony portret. Czegóż on nie wycierpiał dla idei, dla kraju, dla brata od czasu, kiedy, jako młodzieniec pełen zapału, żądny wiedzy i żmudnej pracy na niwie dziejów ojczystych, musiał bronić puściny Świdzińskiego od samolubnych zachcianek osławionego markiza Wielopolskiego, aż do chwili, gdy jako zgrzybiały starzec oddał Bogu duszę, a ziemi ojczystej, tak przez siebie ukochanej, ciało wycieńczone długoletniemi ascetycznemi praktykami! Ale ani długie lata katorgi, którą przyjął dobrowolnie w zastępstwie za brata, dotkniętego nieuleczalną chorobą piersiową, — ani przebywanie późniejsze na granicy Mongolji ani tułaczka po obczyźnie, ani gorzki niejeden zawód po powrocie do kraju nie zdołały zachwiać na chwilę tej bohaterskiej w swojej cichej uległości duszy. Zostawił też po sobie pamięć niestrudzonego pracownika, głównie na niwie dziejów porozbiorowych (Kościuszko. Warszawa w r. 1794 i wiele innych monografij i ulotnych pisemek) i niestrudzonego zbieracza materjałów do historji obrazów N. Marji Panny, której, jako braciszek Zakonu Kapucynów, był osobliwym czcicielem. Był przytem zapalonym bibljografem i jego zbiory, tyczące się głównie ostatniego wieku dziejów naszych, należą bez wątpienia do najcenniejszych w kraju. Gdy do tego dodamy, że ów słodki zakonnik był zapalonym demokratą, niezmordowanym karcicielem błędów, które Ojczyznę naszą do upadku doprowadziły, że się brzydził każdą obłudą, każdem sprzeniewierzeniem się świętym zasadom sprawiedliwości, chociażby ze strony najwyżej



* 1829 r. w Bobrówce za Dnieprem
† 9. stycznia 1903 r. w Krakowie.

stojących osób, nawet zwierzchników własnego kościoła, otrzymamy zupełny obraz księdza patrjoty, spotykany w dziełach naszych wieszczów, ale, niestety, bardzo dziś rzadki w rzeczywistości. *Usque ad finem* — była to dewiza, której się nigdy nie sprzeniewierzył, której pozostał wierny do śmierci. Spodziewamy się, że ktoś się zajmie zebraniem wszystkich dzieł tego szlachetnego męża, i wydaniem tych, które pozostały po nim w rękopisach, osobliwie zakończenia historji powstania 1794 roku.

Bronisław Szwarce.

Kilka słów o symfonji.

Od chwili otwarcia Filharmonji aż do dnia dzisiejszego, a więc w niespełna czterech miesiącach, usłyszał muzykalny Lwów więcej symfonji, poematów symfonicznych, koncertów na rozmaite instrumenty z towarzyszeniem orkiestry i uwertur wszelakiej treści i formy, aniżeli w przeciągu całego ubiegłego dziesięciolecia.

Zamiłowanie w poważnej muzyce poczyna wzrastać i zdarza się już dzisiaj, że na kurytarzach, schodach i w bufecie Filharmonji usłyszeć można wyrazy takie, jak np.: „scherzo“ „finale“, „allegro“, „andante“, „presto“, „przeprowadzenie tematu“, „temat główny“, „temat poboczny“ i wiele innych, które słyszało się dotychczas z ust niewielu zawodowych muzyków, a z którymi nie spotykałeś się nigdy w salach koncertowych, a tem mniej w salonach i w salonikach naszych „górnych dziesięciu tysięcy“, czyli t. zw. śmietanki towarzystwa.

W ramach krótkiego artykułu dziennikarskiego niepodobna szczegółowo rozebrać i wytłumaczyć formy symfonji. Wymagałoby to nierównie więcej miejsca, aniżeli go jakiekolwiek pismo perjodyczne na ten cel ofiarować może.

Spotkałem się u nas we Lwowie niejednokrotnie z tak błędnemi wyobrażeniami o istocie symfonji, że pragnąłbym łaskawym czytelnikom w najkrótszych i najprzystępniejszych słowach przedstawić jej formę i znaczenie.

Nie zatrzymując się nad etymologją słowa, złożonego z dwóch greckich wyrazów *σύν φονεῖν*, oznaczających zespół dźwięków, stanę się zapewne najzrozumialszym dla bardzo wielu, jeżeli im powiem, że symfonja jest tem samem dla orkiestry, czem sonata dla fortepianu. Obydwie składają się zazwyczaj z czterech odrębnych części, różnych co do formy, charakteru, taktu i tempa, ale złączonych pewnem pokrewieństwem tonacji.

Pierwszą część symfonji zarówno jak i sonaty, osnuwa kompozytor na dwóch kontrastujących ze sobą tematach. Jeżeli pierwszy jest energiczny i posiada jakiś wybitny charakterystyczny rytm, to drugi bywa zazwyczaj śpiewny, miękki i rozmarzony. Jeżeli, dajmy na to, pierwszy jest wojownikiem, czy bohaterem, to drugi w przeciwstawieniu powinienby być łagodną, słodką, czule kochającą kobietą.

Zaprezentowawszy obydwa tematy, powtarza kompozytor całą tę ekspozycję raz jeszcze, a następnie rozpoczyna t. zw. „przeprowadzenie“ *(Durchführung)*, w którem obydwa tematy wyzyskuje w sposób najrozmaitszy. Każe im odzywać się na rozmaitych stopniach skali, wydłuża je i skraca, wyzyskuje ich podatność figuralną, czasem próbuje na nich rozmaitych sztuczek kontrapunktycznych, jak imitacji, kanonu, fugata lub fugi, aż wydobywszy nareszcie wszystko, co z nich wydobyć zdołał, zmierza, piętrząc efekty dynamiczne i rytmiczne, ku końcowi. W formie tej poruszają się wszystkie symfonje, począwszy od Haydn'a, głównego ich twórcy, a skończywszy na Brahmsie, ostatnim symfoniku, przejętym duchem klasycyzmu. Drugą część symfonji stanowi zazwyczaj ustęp o charakterze spokojnym i śpiewnym, jakaś melodja, rozsnuta w długie okresy, zrazu w skromne szaty harmoniczne

przybrana, lecz w dalszym swym przebiegu w coraz bogatszy wyposażona akompaniament. Forma tego ustępu jest formą pieśni, a bardzo wielu kompozytorów używa w tem miejscu warjacji wyzyskujących temat nietylko pod względem figuralnym, ale nadających mu za pomocą różnorodnych harmonji i zmian rytmicznych odmienny charakter i nastrój. W trzeciej części symfonji używali Haydn i Mozart formy menuetu. Dopiero Beethowen powiększył ją znacznie, rozszerzył i nazwał „żartem, czyli po włosku „scherzo“.

Czwarta część, czyli finale ma znowu albo formę pierwszej części, albo też formę większego ronda. Niektórzy kompozytorowie używali tu także warjacji, jak np. Beethowen w „croice“, niektórzy znowu, jak np. Mozart w symfonji, znanej pod nazwą „Jupitera“ posługują się fugą, późniejsi: Mendelssohn, Schuman, Gade, Goldmarck — nie gardzą nawet motywami i rytmami tańca, rozprowadzonemi w formie symfonicznego allegra.

Forma symfonji, jaką tu w najgłówniejszych zarysach naszkicowałem, znajduje w szerszych lub szczuplejszych ramach zastosowanie w sonatach, triach, kwartetach smyczkowych lub w większych instrumentalnych ansamblach, jak np. w septecie Beethowena, oktecie Mendelsohna lub nonecie Spohra. Ilość użytych instrumentów nie wpływa tu zupełnie na formę kompozycji.

Zbliżoną bardzo do formy symfonji, jest także forma koncertu na rozmaite instrumenty solowe z towarzyszeniem orkiestry. Różni się ona od formy symfonji tem głównie, że składa się z trzech, zamiast, jak tamta, z czterech części, zaś myśl przewodnia utworu, jego treść i istota mieści się głównie w partji solowej, dla której orkiestra staje się tylko tłem i dopełnieniem harmonji.

Nasza literatura muzyczna nie obfituje w symfonje, kwartety i sonaty. Prócz symfonji charakterystycznej Dobrzyńskiego istnieją tylko dwie symfonje, Zygmunta Noskowskiego, andante z niedokończonej symfonji Żeleńskiego, wydane w Lipsku, pod tytułem „Trauerklänge“, i wykonywana przed laty kilkunastu we Lwowie symfonja Rajmunda Baczyńskiego, dotychczas niedrukowana.

Kwartetów smyczkowych, triów na skrzypce, wiolonczelę i fortepian jakoteż sonat na skrzypce z fortepianem lub sam fortepian napisali kilkanaście: Żeleński, Noskowski, Paderewski i Stojowski. Pomiędzy muzykami warszawskimi głośno swego czasu rozprawiano o sonacie Stolpego z wielkim talentem napisanej. Nie była jednak drukowaną nigdy, a słyszała ją tylko garstka znajomych zmarłego. Koncertów posiada nasza literatura muzyczna kilka. Oprócz znanego koncertu (militaire) na skrzypce z orkiestrą Karola Lipińskiego, jest kilka pięknych koncertów skrzypcowych Henryka Wieniawskiego, jakoteż fortepianowych Chopina, Paderewskiego, Stojowskiego i Zarzyckiego. *Jan Gall.*

BRODY

Z literatury o Brodach: *Barącz Sadok:* „Wolne miasto Brody“ Lwów 1865; *Tym. Lipiński:* „Monografja Brodów“ Bibl. Warsz. r. 1851 i 1865; *Czołowski:* „Ruś Czerwona etc.“ Bibl. Warsz. 1887; Fortalicium ruskie w Br.“: Spr. do hist. sztuki tom V; „Bożnica w Br.“ Kłosy tom XIX; Por. także artykuły w „Starożytnej Polsce“ (Lipińskiego) w „Przyjacielu dom.“ 1852 nr. 11 i w „Słowniku geograficznym“.

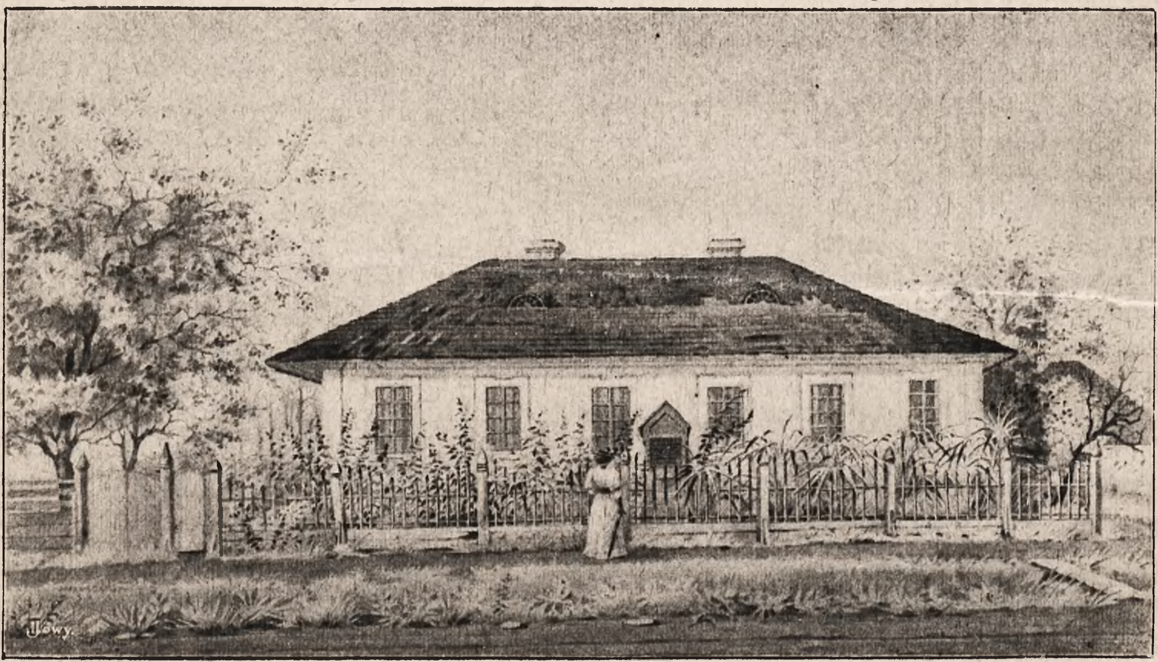
Aż kiedy dola zapłacze szumem odwiecznych lip starobrodzkiego cmentarza, i wiatr powionie szarą płaszczyzną, niosąc liść uschły hen po za rosyjskie szlabany: poczynają i Brody szumną pogwarkę o tem co było, co przeszło i w głuchej legło martwocie.

A wiele tam było w Brodach i życia i gwaru, co się już dzisiaj do snu cichego, ułożył, szmerem ukołysany modlitwy żydowskiej przy siedmioramiennym świeczniku i czarnymi pasy „śmiertelnej koszuli“. Tak się zdaje czasami, że te domy obszernie rozsiadłe, że te place szerokie dla ja-

kiegoś innego przeznaczone były miasta, a dziś wyglądają jak pomarszczona i uwisła szata na plecach człowieka, który schudł nagle i zmarniał.

Wolne miasto Brody z wolnym okręgiem cłowym wrzało do niedawna ruchem i handlem; a dziś, gdy mu wolność odjęto, spi tak, jak tyle jego siostrzyc na galicyjskim gruncie, tak samo, jak przed wiekami spało wśród brodów i moczar i lasów sosnowych. Bo z osady wiejskiej, cichej i zapadłej, postanowił wojewoda bełzki Stanisław Żółkiewski wznieść miasto pod nazwiskiem herbownego swego klejnotu Lubicz. Stefan Batory przywilejem z r. 1584 narodziny nowego grodu przypieczętował, — ale pomimo to mieszkańcy, przyzwyczajeni do dawnej nazwy i nowo założone miasto Brodami przezwali. W r. 1629 kupił Brody hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski, osadził je na prawie magdeburskiem, wałami opasał i podwaliny przyszłej handlowej świetności położył przez wprowadzenie jarmarków i składu towarów. W r. 1648 napróżno je zdobyć pragnął Chmielnicki, gdyż zamek, dzieło Stanisława Koniecpolskiego, oparł się jego zamiarom, chociaż jeszcze nie był do rzędu takich warowni doprowadzony, jak później. Syn bowiem Stanisława, Aleksander Koniecpolski zamek ten obwarował silnie, na wzór cytadeli w mieście Stenay w Lotaryngji, tak, że pod jego osłoną wszystkie nacje, miasto zamieszkujące, spokojnie mogły kupczyć i handlować:

Królewicz Jakób Sobieski, następny właściciel Brodów, uczynił z nich prawdziwą metropolję żydowską. W r. 1699 wydał on mianowicie przywilej, w którym pozwolił żydom budować domy, synagogi, łaźnie, jatki i okopisko parkanem drewnianym ogrodzić. Uwolnił też od wszelakich podatków domy rabina, kantora, syndyka i szpital, nadając równocześnie ogółowi żydów wiele cennych przywilejów handlowych. Od tego też czasu stały się Brody miastem wyłącznie prawie żydowskiem i zasłynęły niebawem nie tylko jako główna siedziba handlu żydowskiego, ale też jako centrum hebrajskiej nauki i cywilizacji. Wystarczy powiedzieć, że przy brodzkiej synagodze istniała niegdyś bibljoteka hebrajska, licząca 24.000 dzieł.



Dom w Brodach, w którym się urodził Józef Korzeniowski.

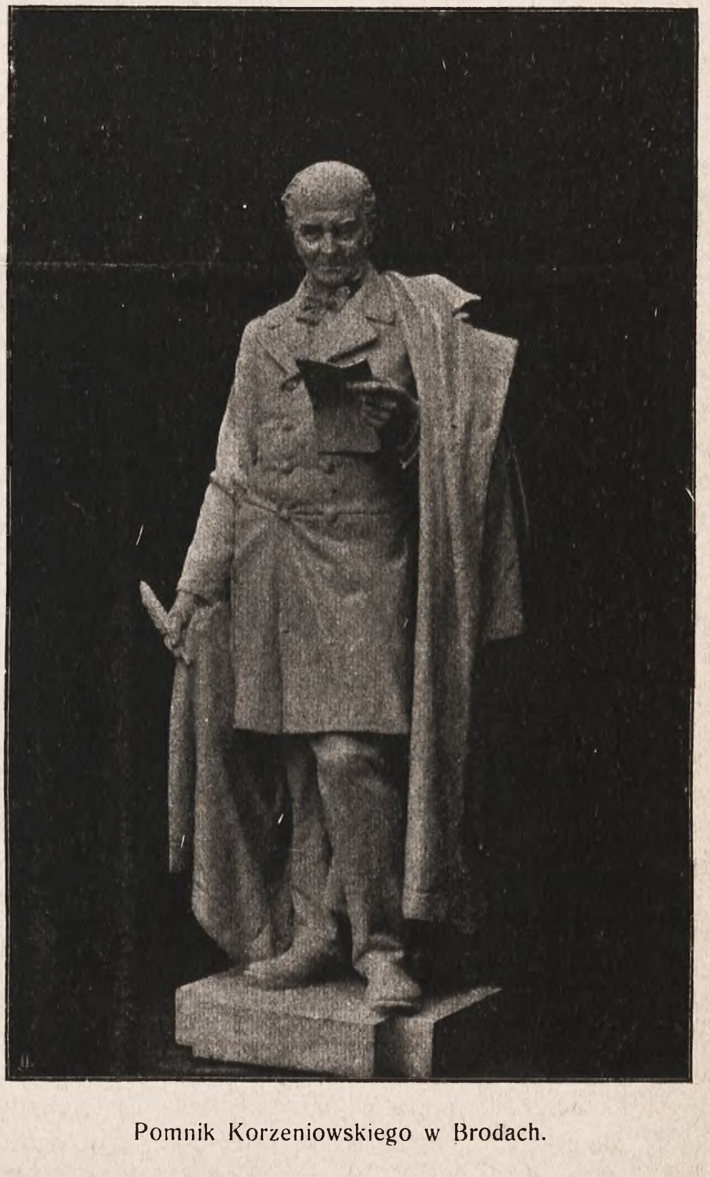
Odtąd historja Brodów, krótka już, ale smutna, jak dzieje wszystkich miast polskich. Z początkiem ośmnastego wieku niezgoda magnatów: Jana Potockiego i Jana Aleksandra Koniecpolskiego o dziedzictwo Brodów, ciągłe najazdy zbrojne i procesy. W r. 1715 pożar; w r. 1734 zdobywa miasto książe Hessen Homburg, zwolennik Augusta; w r. 1742 znowu pożar, który całe miasto

doszczętnie strawił, tak że Ormianie miasto porzucili, Izrael pozostał tylko wiernym swej głównej siedzibie.

Po trzecim wreszcie pożarze przyszli w r. 1772 Austrjacy, którzy też w r. 1779 ogłosili Brody wolnem miastem handlowem z możnością sprowadzania wszystkich artykułów bez opłacania cła.

Od tego czasu rozpoczął się drugi okres świetności miasta. Ciekawy obraz, jak ono w tych ruchliwych czasach wyglądało, pozostawił nam wielki powieściopisarz Józef Korzeniowski, który, jak wiadomo, w tem mieście się urodził. Otoż w liście do ks. Sadoka Barącza, pisze on między innemi co następuje:

„Nie wiem, czy rogatka, zamykająca wolne miasto Brody, stoi na dawnem miejscu. Była ona może na 300 kroków za budynkiem dużym, w którym wówczas znajdowała się waga. Otóż, wjeżdżając do miasta, przed samą rogatką na lewo była brama, prowadząca na dziedziniec duży, na którym stał dawny folwark ekonomji brodzkiej. Tam urodziłem się (domek ten przedstawia nasza rycina przyp. Red.). Za ową rogatką ciągnęła się ulica, podobno lwowska, źle zabudowana, mająca z lewej strony błota, a za niemi nędzne chaty, z prawej wielki browar skarbowy, dalej sianożęć mego ojca, a dalej różne budynki dość liche, między którymi ledwie cztery lub pięć murowanych. Ta się ciągnęła aż do drugiej rogatki, już dominikalnej, od której na prawo ciągnął się wał, jeszcze wówczas dość dobrze utrzymany. Od tej rogatki szła dalej ulica z drewnianych budynków złożona i wychodząca na wielki plac kwadratowy, którego dwa boki północny i południowy zajmowały domy zajezdne żydowskie, cały zaś bok wschodni zajmował dom zajezdny Bacha. Z tego placu wychodziło się wązką uliczką na plac kościelny. Biedny to był i mały na tak wielką ludność kościółek, choć probostwo było dość bogate. A był jedyny rzymsko-katolickiego wyznania, bo oprócz dwóch cerkwi unickich innej tam świątyni nie było. Od kościoła do rynku szła ulica, dość porządnie zamurowana, gdzie był dom i kantor bogatego kupca Laszkiewicza. Rynek kwadratowy miał naokoło domy murowane, ale różnej architektury. Od strony kościoła i zamku były domy żydowskie, dawniejsze z trójkątnymi dachami, całą linję od zachodu zajmowały ruiny klasztoru, od wschodu zaś nowe i dość ładne kamienice, a między tymi najokazalsza bankiera Hausnera i Violanda, który to dom w owym czasie wielkie robił interesy i przyszedł do ogromnej fortuny. Była też druga firma żydowska „Chaskiel & Com.“ także wówczas bardzo zamożna. Sam środek rynku zajmował wielki, niski budynek z arkadowem przejściem naokoło, gdzie były sklepy żydowskie, pełne wówczas najrozmaitszych towarów, ale, ile sobie



Pomnik Korzeniowskiego w Brodach.

przypominam brudne i niesłychanie śmierdzące. Z rynku wąską uliczką wychodziło się na plac zamkowy. Zamek ten dość obronny, obmurowany wałami, w których były obszerne kazamaty, stał jeszcze wówczas cały, z występami do krzyżowego ognia, ze zwodzonym mostem, przed którym był wielki budynek przedmostowy z dużą wieżą czworoboczną, na której znajdował się zegar, jedyny w całem mieście.

Za zamkiem ciągnęło się błoto a dalej staw, od strony miasta broniły go szerokie rowy przed murami. W zamku na dziedzińcu był krąg starożytnych lip, ogromnych i wonnych, z prawej strony oficyna, a wprost bramy wjazdowej wielki piątrowy pałac z ogromnymi salami".

Fr. J.

Łososie idą!

(Z ŻYCIA RYBAKÓW KASZUBSKICH.)

Ksiądz podniósł monstrancję. Rozjęczał się dzwonek, trzymany w ręku chłopaka, który służył księdzu do mszy św.; pod sklepienie nawy kościelnej popłynęły obłoki dymu z mszalnych kadzielnic — a w tej chwili lud runął na klęczki i trwał tak w wielkiej ciszy, zapierając nawet dech w piersi. Mistyczny nastrój czegoś wielkiego, potężnego, ogarnął klęczących, gdy nagle, brutalnie, ktoś od progu rzucił wgłąb kościoła donośne wołanie:

— Łososie idą!...

Uroczysty nastrój pierzchnął. Mężczyźni zerwali się z klęczek i biegli ku wyjściu, potrącając w biegu klęczące jeszcze kobiety. Przy drzwiach powstało zamieszanie, bo zaczęto się tam tłoczyć i jeden napierał na drugiego.

— Łososie idą!... Łososie idą! — podawano sobie z ust do ust, jakby jakie hasło.

W okamgnieniu kościół wypróżnił się do połowy. Ksiądz kończył prędko mszę św., a przy nim chłopak aż dygotał z niecierpliwości. Kobiety powtarzały z roztargnieniem słowa poddawane; ich myśli, ich pragnienia, poleciały za tymi, co stąd nad morze wybiegli. Tam rozgrywała się kwestja ich bytu. Jeśli rybacy na czas nie zdążą, łososie przepłyną obok tamy, lub poduszą się i zysk oczekiwany zginie bezpowrotnie. Dopuścili się grzechu, przerywając mszę św., ale ksiądz odpuści ten grzech przy spowiedzi. (A może i nie odpuści, bo to jakiś obcy teraz ksiądz, prusak i z niemieckich stron przysłany?) Za to Pan Bóg w niebie przebaczy, bo zna ciężką dolę rybaków kaszubskich.

Jakiś wyrostek przebiegł obok kościoła, gdy już było po mszy i wychodzącym ze świątyni kobietom, obwieścił radośnie:

— Walą łososie, że się aż fale podnoszą na dwa łokcie!

— Daj Boże szczęśliwego i obfitego połowu, życzył przechodzący obok żebrak wioskowy.

— Boję się nieszczęścia — szepnęła wysoka, blada dziewczyna w gromadzie kobiet, które zdążały ku morzu.

— Nie będzie dobrze, nie! — wmięszał się nagle głos ochrypły i drżący.

Kobiety oglądnęły się za siebie i zobaczyły idącą za niemi staruszkę, zgarbioną, skuloną, w łachmanach prawie i boso. Idąc, opierała się mocno na wierzbowym kiju, a głowa trzęsła się jej okrutnie, na cienkiej, pofałdowanej szyi. Pomarszczoną, wynędzniałą twarz podała naprzód i mrugając zaczerwienionemi powiekami, powtarzała puszczykowym głosem:

— Nie będzie dobrze, nie! Mszę świętą, niedzielną, przerwali dla zarobku.

— Tak nieraz bywało — odparła jej na to jedna z śmielszych.

— Bywało... bywało — powtórzyła stara. Spojrzała po kobietach, utkwiła w ich pobladłych twarzach sępie spojrzenie i mówiła: — Ale i to bywało, że za tymi, co ruszali na połów, dążył nad brzeg morza ksiądz ze świętą monstrancją i błogosławił i dawał odpuszczenie za grzech. A dziś, co?... Nie ma już naszego pasterza. Jest obcy, niemiec, nie nasz, nie po naszemu mówi i nie litujący się naszej doli. Niedobrze będzie, niedobrze...

Umilkła. Przechodziły koło mizernego lasku brzozowego na wysokich piachach, o kilka kroków od brzegu morskiego. Huk fal, które tłukły się o brzeg, zagłuszył ostatnie słowa staruchy. Wiatr zawył między konarami suchotniczych brzóz. Lęk, pełen strasznych widzeń ogarnął nagle te biedne kobiety, co biegły tu za swoimi. Niektóre pobiegły prędko w stronę tamy, gdzie wrzał ruch wielki, inne stały nad brzegiem, jakby przykute do piachów, puszczykowem wyrzekaniem starowiny.

Na morzu kołysały się trzy łódki rybackie o rozpiętych żaglach. Wiatr wydął żagle i podrzucał łódkami, jakby były z gumy. Niebo nachylało się ku morzu szarobłękitnym baldachimem. Słońca nie było widać; tylko błękitna jasność szła pośrodkiem morza, a wdali kładły się na falach zielonawo-fioletowe smugi. U brzegu pieniły się bałwany i głucho, przeciągle, jak brytan na uwięzi, warknęły kilka razy. Nagle wiatr wzmógł się jeszcze, morze bryzgnęło pianą i jakby zakotłowało tam w głębi. Rozjęczały się fale, zawirował piasek na szerokiej ławicy i morze pozieleniało zupełnie.

— Święty Boże! Święty mocny! — jęknęły kobiety, co stały u brzegu, śledząc bieg łódek rybackich po morzu.

Potem runęły na piasek i zaczęły się modlić żarliwie.

Miałżeby ich wszystkich Bóg opuścić, jak opuścił tamten pasterz?... Wszak „tamten“ odszedł, bo odejść musiał, bo taki był rozkaz i jemu po niewoli odejść przyszło. Bóg jest sprawiedliwy, ale też i pełen miłosierdzia. Jeśli spotkała ich ta kara opuszczenia za jakieś dawne grzechy, to znowu, gdy pokuta minie, łaska Boża na nowo zajaśnieje nad ich smutnemi głowami.

Wtem poprzez huk bałwanów przebił się rozpaczliwy okrzyk od strony, gdzie była tama:

— Topią się!... Topią!

Kobiety zerwały się z klęczek i z rozpaczliwie wyciągniętemi rękoma pobiegły tam, skąd doleciał je ten straszny krzyk trwogi.

— A może to tylko łososie się topią — próbowała je uspokoić jakaś dziewczyna.

Ostatnia podniosła się z klęczek starucha. Chwilę nasłuchiwała hałasu, co wzmagał się przy tamie, potem szepnęła, kiwając głową:

— Niedobrze będzie!... Niedobrze! Mszę św. niedzielną przerwali.

Spojrzała ku morzu. Już nie dojrzała tam żadnej łódki. Stopiły się wdali w jeden ton z morzem. Unosiły się tylko nad falą jakieś białe, ruchome punkty. Może to furczały chorągiewki u szczytu żagli? A może to były rozpostarte skrzydła gromadki mew, które unosiły się nad powierzchnią toni morskiej?...

Juliusz Piasecki.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Arcydzieła polskich i obcych pisarzy tom XVI.* Liczba porządkowa ostatniego tomiku, wydawnictwa tego, które wychodzi nakładem księgarni p. Feliksa Westa w Brodach, świadczy najlepiej o jego potrzebie i użyteczności. Zbiorek arcydzieł polskich i obcych pisarzy, przeznaczony w pierwszym rzędzie dla użytku młodzieży szkolnej i w tym celu odpowiedniemi objaśnieniami zaopatrzony, oddać może i powinien także znakomite usługi i szerszym kołom publiczności, a zwłasza samoukom. Wydawnictwo to bowiem przynosi oryginalny,

starannie i w sposób naukowy ustalony tekst polskich klasyków, uwagi zaś wstępne, jak również końcowe objaśnienia językowe i rzeczowe, dają każdemu tomikowi cechy publikacji prawdziwie naukowej. Ostatni, szesnasty tomik zawiera „Kazania sejmowe" Skargi z objaśnieniami prof. Michała Janika. Oprócz tekstu, starannie oczyszczonego, ze wszystkich późniejszych naleciałości znajdują się tam takie rozprawki o zawodzie kaznodziejskim ks. Piotra Skargi i genezie jego kazań sejmowych, jak nie mniej wyłącznie już dla uczniów gimnazjalnych opracowane streszczenie toku myśli poszczególnych kazań.

Tytuł skonfiskowany. Nakładem polskiego towarzystwa nakładowego wyszło drugie wydanie legend Andrzeja Niemojewskiego wraz z immunizowanymi przez parlamentarną interpelację ustępami, które uległy poprzednio konfiskacie. Wydanie to zawierające więc wszystkie bez wyjątku legendy, tak jak one wyszły przed konfiskatą, przedstawia się pod względem typograficznym bardzo sympatycznie, jakkolwiek brak mu rycin p. Dębickiego i tego przepychu, z którym książkę tę wydała księgarnia Altenberga.

SZTUKA. *Z wystawy obrazów.* W trzeciej, ostatniej salce tak zwanego Salonu lwowskiego, którą od dwu poprzednich mieszczących wystawę boeklinowską, oddziela gruba wełniana portjera, w tej ostatniej salce najpospoliciej oświetlonej zwykłem światłem dziennem, ignorując jakgdyby sąsiedztwo bliskie fragmentarycznych szczątków twórczości wielkiego „Greka gotyckiego" wisi obecnie najspokojniej kilka obrazów polskich malarzy. Więc portret własny „mistrza" Styki, marny w kolorycie ale niezgorzej narysowany i nie pozbawiony w całości indywidualnego wyrazu, (najlepsza jeszcze rzecz z całej niedawno temu zamkniętej jego wystawy zbiorowej), portret, przed którym niedawno jeden z świeżych boecklinomanów głosił, że z całej wystawy Boecklina najlepszy jest ten jego portret własny *(sic !).* Więc czwórka p. Rozwadowskiego (prawdopodobnie znowu epizod z czasów napoleońskich, jak o tem świadczy styl wehikułu i porzucony na nim kask ułański), obraz w górnej części nie pozbawiony powietrza ale brudny w kolorze i nie wolny od błędów rysunkowych. Więc obrazki p. Rejchana oraz p. R. Kochanowskiego (och, od tylu lat jednakowo „sympatyczne"... i monachijskie!)

Ale uwagę zwraca na siebie przedewszystkiem wielka akwarela A u g u s t y n o w i c z a, rzecz jednem słowem wyborna. Nie znam jej tytułu, ale mniejsza o tytuł. Mówią, że autor nazwał ją satyrycznie „Architektura polska". Mogłaby się nazywać poprostu „z szopką". Obok wyklejonej z kolorowych papierów szopki stoi chłopak kilkunastoletni, przyodziany w ojcowską zapewne bundę i czapkę na oczy zasuniętą. Ręce, jedna na drugą założone, ukrył do połowy w za obszernych rękawach i stoi tak wsparty o mur, wyczekując kupujących. Twarzyczka lekko od mrozu zarumieniona a z niej błękitne oczy patrzą przed siebie w świat obcy i wrogi, pełne dziecięcego smutku i zadumy.

W wyrazie jej tyle jest melancholji specjalnie polskiej, tyle smutku w całej postawie. Taki konstrast dziwny zachodzi pomiędzy szarością postaci i tła a jaskrawością szopki pełnej dyskretnie w niej majaczących figur jasełkowych, tak obraz ten śmiały jest i pewny jako rysunek a jako koloryt wirtuozowski, do tego stopnia zwłaszcza podbija szczerością sentymentu, że długo oczu od niego oderwać nie sposób. Dawno już nie spotkaliśmy się z tak dobrem dziełem p. Augustynowicza i winszujemy mu szczerze tego dorobku, składającego nowe a tak chlubne świadectwo o jego pięknym talencie. Cieszymy się również bardzo z tego że artysta ten obok portretu olejnego nie zaniedbuje i akwareli, na polu której dał już nie jedną rzecz bardzo dobrą. „Z szopką", to dzieło szlachetnego w swej prostocie realizmu, zdobędzie sobie niezawodnie uznanie nawet i zagranicą, uznanie może jeszcze bardziej zasłużone od tego, jakiem niedawno cieszyły się we Wiedniu, wystawione w tamtejszej secesji, portrety tegoż artysty, o których w tak pochlebny sposób wyrażała się nawet *Neue Freie Presse...*

A. C.

NOTATKI. *Ze starych zabytków.* Na ostatniem posiedzeniu Komisji do badania historji sztuki w Polsce zdał p. Tomkowicz sprawę z wycieczki swej do Królestwa P. gdzie w powiatach proszowskim i noworadomskim znalazł wiele pomników dotychczas nieznanych.

Z kolei p. Zubrzycki streścił pierwszą część pracy swojej o zabytkach Krosna. Referent opisawszy położenie miasta skreślił jego historję oraz podniósł znaczenie jego jako siedziby handlu już w wiekach średnich.

Pod względem ilości zabytków sztuki należy Krosno do wyjątkowo bogatych miast. Kościół parafialny, budowa zapewne z drugiej połowy XIV. w., zachował do dziś dnia wiele cech średniowiecznych. Ciekawą jest ściana szczytowa zamykająca dach pomiędzy presbyterjum a nawą główną.

Wewnątrz kościoła na szczególniejszą uwagę zasługują: rzeźba drewniana, przedstawiająca Trójcę Św., bardzo piękny obraz „Koronacji N. P. Marji", pomnik z czarnego marmuru rodziny Skotnickich z XVII. w.; piękne są również mniejsze ołtarze i ławki w nawie głównej. Skarbiec kościelny słynął dawniej z bogactw.

W rynku zachowały się dotąd, z dwóch jego stron podcienia, ciągnące się przed upadkiem Krosna prawdopodobnie dookoła.

P. Emanuel Świeykowski przedstawił wreszcie szereg planów zamku Franciszka Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego w Krystynopolu nad Bugiem.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.